

Narodowy katolicyzm a chrześcijaństwo

Autor tekstu: **Paweł Leszczyński**

Tym razem postanowiłem zająć się, oczywiście w ramach ograniczonych możliwości, przypomnieniem kilku oczywistych prawd i intelektualnych faktów, które posłużą jako głos opowiadający się przeciw antyteologicznym wypaczeniom rodzimego katolicyzmu. Biorąc pod uwagę, że posłana w bój racjonalistyczna logika stroni od ogólnych sloganów i unika populizmu, trzeba na wstępie zaznaczyć, co dokładnie ma się na myśli. A zatem, pisząc „antyteologicznym” nie mam zamiaru wchodzić w rolę obrońcy teologii jako nauki, gdyż w oczywisty sposób nią nie jest, gdyż przedmiot jej dociekań nie może być w żaden sposób zgłębiony, skoro nie można nawet dowieść jego istnienia (oczywiście na gruncie surowych reguł metodologii naukowej). Natomiast ta część jej zainteresowań, która dotyczy, opisuje czy wyprowadza wnioski na podstawie życia Jezusa, może być jak najbardziej analizowana, przynajmniej z perspektywy filozoficznej. Antyteologizm polskiego katolicyzmu jest zatem ignorowaniem ewangelicznego przekazu i właśnie pewnej filozofii, która przyświecała Chrystusowi, a którą można z pewnością zaklasyfikować jako „filozofię miłości”. A cóż oznacza „polski katolicyzm”? Ten oksymoron (oksymoronem w równym stopniu byłby „niemiecki katolicyzm” lub „francuski katolicyzm” — oczywiście, gdy mowa o kontekście innym niż socjologiczny i historyczny, gdzie można tych określeń używać jako pewnych desygnatów służących jako skrót myślowy odnoszący się do zjawisk społecznych opisywanych z perspektywy czasu), jest nazwą zespołu postaw, przekonań i potężnego zasobu wiedzy potocznej, głównie przekazywanych z pokolenia na pokolenie, dotyczących przede wszystkim sfery religijnej — nie zaś sfery wiary. Warto spróbować odtworzyć prawdziwy przekaz ukrzyżowanego Nazarejczyka, gdyż powodzenie tej misji pozwoli odnaleźć w nim inspirację zarówno dla wierzących, jak i niewierzących. Czyż nie to miał on na myśli, obiecując wiszącemu na krzyżu obok łotrowi wspólny pobyt w raj?u?

Ponieważ absurdów, które w najlepsze funkcjonują w polskim, narodowym dyskursie katolickim nie da się zliczyć, to wyszczególnię tylko kilka kategorii, w każdej z nich postępując się przykładem. Do pomocy w obalaniu mitów zawezwałem trzy osoby: Szymona Hołownię, Adama Bonieckiego oraz Anthony’ego de Mello. Nie zaszkodzi niekiedy posługiwać się Biblią, jako świętą księgą wyznawców „zrośniętej z polskością” religii. Na marginesie, w tym wypadku poziom świętości rośnie odwrotnie proporcjonalnie do poziomu znajomości. Hołownia i Boniecki to światli ludzie, jednak wyjątkowo zabłyszneli w najnowszym, świątecznym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”, co skrupulatnie przytoczę już za moment. Z kolei de Mello to niedościgniony wzór w zakresie łączenia chrześcijaństwa z filozofią Wschodu, odkrywania pierwotnego przesłania Jezusa i radykalnego, a jednocześnie dalekiego od dogmatów, krzewienia wiary (nie, to nie jest sprzeczność). Żadnego z nich radzę nie traktować jako autorytetu. Po pierwsze dlatego, że zdaniem autora tekstu nic takiego jak autorytet nie istnieje (istnieje za to rozczarowanie w głowie kogoś, kto formułuje takie oczekiwanie). Tutaj jestem bliski kartezjańskiemu podejściu do sprawy. Po drugie zaś, postrzegając kogokolwiek jako autorytet, łatwo zamknąć się na przekaz, skupiając się na osobie. Trzy kategorie, o których chciałem napisać (to ledwie promil całości, delikatne zasygnalizowanie problemu), to:

1. partykularyzm kontra uniwersalizm
2. polityzacja religii kontra nieprzejednanie wiary
3. szczęście kontra iluzja

Postawienie powyższych zagadnień w formie dychotomii ułatwia czytelnikowi wgląd w to, co jest, zdaniem autora, po drugiej stronie.



Wikimedia

Partykularyzm kontra uniwersalizm

Nestor intelektualnego nurtu katolicyzmu w Polsce (niekoniecznie, a nawet na pewno nie „polskiego katolicyzmu”), ks. Adam Boniecki, raczy czytelników zupełnie rewelacyjnymi przemyśleniami w refleksyjnym wywiadzie dla najnowszego "TP". Pragnę przytoczyć odpowiedzi na cztery pytania (choć polecam cały wywiad!).

- **Ksiądz to robi? (chodzi o prowokowanie wiernych do wątpliwości, myślowego fermentu)**

- Kiedy byłem duszpasterzem akademickim i prowadziłem zajęcia dla młodych ludzi, którzy dopiero zaczynali studia, starałem się krytycznie im ukazać wyczoną w domu wiarę opartą na tradycji przez małe „t”, niekiedy wymieszaną z myśleniem magicznym. Chrystus mówi: "jeśli ktoś chce iść za mną...". Zależało mi, by ich wybór był wolny i świadomy. Własny. Chciałem, by nieprzemyślana, niewybrana świadomie wiara zaczęła trzeszczeć w szwach.

- **Jaki był świat, z którego pochodzili?**

- Zwykle tradycyjnego, katolickiego domu, w którym o wierze niespecjalnie się rozmawia, w którym obowiązują — czasem nie wiadomo czemu — pewne przyjęte i nienaruszalne zasady. Pości się w piątek, w niedzielę chodzi się na mszę, na Wielkanoc — spowiada. Te zasady nie zawsze są ewangeliczne, choć czasem mogą mieć taki pozór, np. że z rozwodnikami nie rozmawiam, za nieślubne dziecko wyrzuca się z domu córkę z tym dzieckiem, niewierzący „innowiercy” to ludzie gorsi, niepełni, często wrogowie, a wszystko, co ma jakikolwiek związek z seksualnością, jest nieczyste. Bywa, że ludzie wychowani w ten sposób są niewolnikami litery prawa. Jeśli coś robią, lub czegoś nie robią, to nie dlatego, że tak im każe sumienie, tylko dlatego, że tak zostali „wytresowani”. Wątpliwości budzą się, kiedy otwiera się inna perspektywa. Czasem bardzo laicka, czasem ewangeliczna.

- **Wątpienie oznacza samotność?**

- Wiara jest czymś osobistym. Jest tylko wiara konkretnego, tego oto człowieka. Ale można budować środowisko, które wierze sprzyja. Zwątpienie jest zaraźliwe, wiarą można się dzielić przez świadectwo. Ale nie można mówić o wierze społeczeństwa, jedynie o społeczeństwie wierzących, bo wiara wymaga egzystencjalnej decyzji, osobistego wyboru. Dlatego określenie „chrzest Polski”, czy jakiegokolwiek narodu, nie jest ścisłe. Mieszko mógł przyjąć jurysdykcję papieża, mógł przyjąć i narzucić poddanym prawa, zasady, obrzędy, ale chrzest dorosłego człowieka wymaga z jego strony świadomego aktu przyjęcia.

- **Co dzieje się z wiarą, której przypisuje się przymiotnik „narodowa”?**

- Naród wybrany, Żydzi, przetrwał dzięki religii: dwa tysiące lat bez własnego państwa z własną wiarą. Można powiedzieć, zachowując proporcje, że podobnie było z nami w czasach rozbiorów, kiedy spoiwem narodu była wiara chrześcijańska, choć może nie tyle wiara, co — nieco szerzej - chrześcijańska kultura. W Polsce ta kultura od początku państwowości była, raz lepiej, raz gorzej, budowana na wartościach chrześcijańskich. Ale „wiara narodowa” nie istnieje. W odniesieniu do chrześcijaństwa, do Ewangelii, do Kościoła, takie określenie jest nie do przyjęcia, jako że „katolicki” znaczy „powszechny”. Wyznajemy „unam, sanctam, catholicam” — jeden, święty, katolicki Kościół ponad granicami. Bez względu na to, czy Mieszko się ochrzcił z motywów religijnych, czy z politycznego wyrachowania, celem wiary nie jest umacnianie narodu, ale prowadzenie ludzi do Boga. Jesteśmy narodem w większości katolickim, ale nasza wiara nie jest i nie może być narodowa, bo jest właśnie katolicka, powszechna. Oczywiście relacje państwo-Kościół się zmieniają. Katolicyzm pełnił w naszej historii różne funkcje zastępcze. Jasna Góra była miejscem, które pomagało chronić polskość w czasie zaborów. Ale to była chwilowa funkcja. Mówienie „Polak-katolik” jest krzywdzące, choćby dla tych, którzy są np. ewangelikami i Polakami. Podczas intronizacji Chrystusa na króla Polski biskupi i przedstawiciele władz państwowych wspólnie podejmowali pewne zobowiązania, którymi Polacy mieliby się kierować także w ustawodawstwie. To ryzykowne i niebezpieczne, m.in. z tego powodu, że katolicyzm może być używany do spraw mało chrześcijańskich. W Rwandzie dwie strony mordowały się przy dźwiękach tych samych, katolickich pieśni kościelnych. Człowiek zaczyna wątpić wtedy i w Boga, i w człowieka.

Kwintesencja dojrzałości i głębokości przemyśleń Bonieckiego w zasadzie nie wymaga dodatkowego komentarza, gdyż jego wywód broni się sam. Natomiast chciałbym te rozważania wpisać jednak w kontekst całego artykułu. Dlaczego uważam słowa honorowego naczelnego „TP” za wyjątkowo cenne? Przede wszystkim uzmysławiają powierzchowność doznań religijnych dużej części Polaków, jednocześnie umiejętnie wiążąc pewne cechy tej religijności w ramach określonych korelacji. Obrona tradycyjnej moralności, naturalnego porządku, tożsamości kulturowej ojczyzny - to popularne slogany, pojawiające się w krytykowanym przeze mnie dyskursie. Dlaczego tak trudno w rytualnym sporze o aborcję wyjść poza dychotomię "katol - ateista"? Abstrahując od nieuczciwości lewicy w tym względzie, polegającej na wygodnym ustawianiu sobie przeciwnika tam, gdzie chce ona, by stał, cegiełkę w strywializowaniu tego sporu dodała właśnie antyuniwersalistyczna, a tym samym pseudochrześcijańska prawica. Oczywiście nie można dyskryminować motywacji religijnej jako uzasadnienia stanowiska przeciwnego wobec prawa do aborcji, nie można jednak tworzyć wrażenia, że jest to jedyne źródło, z którego takowe uzasadnienie można czerpać. Ważniejszymi jednak tematami w kwestii sprzeczności partykularnego wcielenia katolicyzmu z prawowitym chrześcijaństwem wydają się inne kwestie. Po pierwsze, stawianie autorytetu Kościoła wyżej niż nauczania Jezusa. Po drugie, zniekształcanie tego nauczania na potrzeby usankcjonowania pożądanego przez siebie ładu społecznego. Sprzeczne z przesłaniem Jezusa jest bowiem traktowanie księży jako ważniejszych i z założenia mądrzejszych od „przeciętnych wiernych”. Oczywiście, w sensie historycznym ma to swoją tradycję, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach. Lokalna władza, duchowieństwo czy przedstawiciele prestiżowych zawodów zawsze byli na prowincji wyjątkowo szanowani i stanowili formalną bądź mniej formalną elitę, ze wszystkimi tego konsekwencjami, zwłaszcza w zakresie ograniczania autonomii „ludu” i sterowania nim, jego uczuciami i zapatrywaniami oraz postawami - abecadło kontroli społecznej. Tymczasem nawoływania do porzucenia wszelkich autorytetów są w Nowym Testamencie głośne i jednoznaczne: *„Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem”* (Łk 14,26) Nie oznacza to oczywiście nawoływania do łamania jednego z przykazań czy praktykowania prawdziwej nienawiści, a raczej bezkompromisowe podkreślanie konieczności poszukiwania samodzielności intelektualnej i duchowej, z dala od autorytetów. Ciężkie do wyobrażenia w warunkach ludowego, partykularnego odłamu religijnego? Niestety, obserwując duchową rzeczywistość Polski — tak. W drugim z wymienionych przeze mnie aspektów, Kościół staje się ramieniem zbrojnym konserwatywnie usposobionej części społeczeństwa. Mamy zatem rozmaite intronizacje, porównywanie niektórych nurtów nauk społecznych (gender studies) do totalitaryzmu — muszę tu zaznaczyć, że zgadzam się w kwestii zarzutów względem ideologii gender (czyli politycznej maczugi części środowisk feministycznych, ale ideologizować można wszystko, to skłania do refleksji wyłącznie nad fanatyzmem, z którym rzetelna analiza nie ma nic wspólnego), jaskrawy podział na obywateli

„prawych" i tych drugich ze względu na kryterium religijności (bo już niekoniecznie wiary, w tym zresztą tkwi sedno tej płytkości), pielgrzymki środowisk narodowych, pracowników poczty, górników i wszystkich grup zawodowych, społecznych, większościowych i mniejszościowych, koniecznie hermetycznie odseparowanych od pozostałych, niechęć do osób samotnych z wyboru i generalnie przebieganie się w piórka wyższej moralności celem uzyskania wpływu na życie jednostek, próba dopasowania Ewangelii do programów wyborczych konkretnych partii — co jest o tyle zdumiewające, że dużo mówi się o nadprzyrodzonym charakterze Słowa Bożego, o Objawieniu i niemożności udowodnienia istnienia Boga oraz faktem utraty sensu istoty wiary w momencie znalezienia dowodu — wszystko to nie przeszkadza w sprowadzaniu tejże do aspektów wybitnie doczesnych. To tylko fragment esencji dojmującego partykularyzmu krajowego katolicyzmu. Bez wątpienia nie jest on powszechny, a nawoływania do tej powszechności mają raczej charakter wewnętrzny, obliczone są na potrzeby umocnienia wspólnoty, a często niestety odgradzenia tej wspólnoty od innych, co kończy się nie tylko zniszczeniem tej izolacji, ale także podziałami wewnątrz owej wspólnoty, o której kondycję i jedność rzekomo się dba. Jedność ma być jednak urzeczywistniona podług reguł, a nie miłości.

Polityzacja religii kontra nieprzejeđnane wiary

Płynnym rozwinięciem ostatniego wątku z pierwszego punktu jest przyjrzenie się ostatnim chwilom przed wyrokiem skazującym Jezusa. Szymon Hołownia popełnił interesujący tekst pt. „Zagadka Barabasa". Holistyczna wymowa artykułu jest godna uwagi, a dotyczy właśnie konfliktu między wyuczonymi dogmatami i rzekomą koniecznością ich obrony, a nieprzerwanie świeżym i żywym spojrzeniem praktyków filozofii miłości. Kilka kąsków, najcenniejszych spostrzeżeń: „Późno zauważyłem, że owe proste ludzkie emocje stały się murem zasłaniającą wstrząsającą prawdę płynącą z opowiadania o egzekucji Jezusa. Tę mianowicie, że nie zabili Go zwyrodnialcy, ale dobrzy, prawi i pobożni ludzie. Kapłani i starsi nie byli wcale żadnym Stalinem czy Wampirem z Bytowa, tylko bronili czystości wiary i trwałości religijnej instytucji. Pluton egzekucyjny wykonywał rozkazy — na tym w końcu opiera się wojsko. (...) Przyglądając się relacjonowanej w Wielki Piątek scenie, popełniamy najczęściej błąd ahistoryzmu: sądzimy postaci dramatu według naszego stanu wiedzy, a nie tego, jaki był im dostępny. Zazdroszczę tym, co słuchając zapisu Pasji, mają pewność, że krzyczeliby, iż chcą, by uwolniono Jezusa. Stoisz w podnieconym religijną, przedświąteczną atmosferą tłumie. Twój kapłan mówi ci, że usunięcie z tego świata bluźniercy jest wolą samego Boga. Ten cały Jezus jest ponadto z pogardzanej Galilei, a ci, co krzyczą, to w większości pewnie mieszkańcy Jerozolimy. Skoro Barabasz brał udział w stołecznych rozruchach, może jest ich ziomkiem? (...) Wiem jednak, że jeśli wyjdę ze spotkania z Barabaszem wyłącznie z żywioną doń odrazą za to, że stał się walutą, na którą wymieniono mojego Jezusa, przegapię lekcję, której może mi udzielić. (...) Wszyscy, którzy wchodzą w ten wybór (między Jezusem a Barabaszem), zostają porażeni. Starsi ludu — ślepotą, która im, sędziom sumień, nie pozwala prawidłowo rozróżniać winy od jej braku. Piłat, człowiek władzy — niemocą, gdy nagle abdykuje przed motłochem krzyczącym, że chce śmierci kogoś, kogo sam uważa za Sprawiedliwego. Wreszcie - ów tłum, który rezygnuje z bycia Narodem Wybranym na rzecz bycia Narodem Wybierającym, a decydując się na ów drugi status — traci pierwszy. (...) Jasne: może woleli Barabasa, bo był mesjaszem na miarę wyobrażeń tych udreńczonych ludzi. Takim, co dziarsko dźga nożem, a nie każe chować miecz do pochwy; co krzyczy dzielnie: Śmierć wrogom ojczyzny!, a nie sieje defetyzm wezwaniami w stylu: Kochajcie wrogów i tych, co was nienawidzą."

Najprościej skonfrontować te rozważania z problemem tzw. uchodźców. Każdy wie, że są obecnie obszary świata szczególnie dotknięte klęską wojny, ale też takie, w których jest po prostu ekstremalna bieda. Ale to, czy ktoś jest uchodźcą, czy też nie, schodzi w moim przekonaniu na drugi plan, jest co najwyżej tłem — nie twierdzą, że zupełnie nieistotnym, ale na pewno nie fundamentalnym. Tragedią Ewangelii jest fakt, że Jezus został ukrzyżowany przez dbające o czystość religijnego dziedzictwa elity. Faryzeusze, saduceusze czy esseńcy — różne odłamy, wszystkie przekonane o swojej moralnej wyższości i strzegące czystości doktryny. Jezus nie darzył ich szczególną estymą, a przecież byli oni wzorowo religijni, nieprawdaż? Podobnie jak wzorowo religijne społeczeństwo polskie, niemal dokładnie w 3/4 (najnowsze dane CBOS) sprzeciwia się obecności jakichkolwiek uchodźców na terenie RP. Ale to nie jest schizofrenia, tylko konsekwencje realizowanego od setek lat modelu katolicyzmu. Katolicyzmu, który miał ufundować Europę, stanowić duchowy rezerwuuar, podstawę moralną i społeczną (fakt, że nie wszyscy filozofowie, artyści czy politycy byli katolikami czy nawet wierzącymi, nie ma większego wpływu na tę jednolitą i raczej niespecjalnie zniuansowaną narrację). Przed zniszczeniem tej podstawy można zabezpieczyć się wyłącznie nie dopuszczając do importu zagłady, która nieuchronnie nastąpi wskutek zalewu

imigrantów. Europa padnie — tak jak padł Rzym. Nie miejsce i czas na spór o imigrację, jej zasadność, warunki czy analizę szans i zagrożeń z niej płynących. Osobiście uważam, że każdy człowiek powinien mieć prawo mieszkać i przebywać tam, gdzie ma ochotę. Jednocześnie jestem przeciwny „polityce imigracyjnej”, „kwotom” i innym podobnym absurdom. Po prostu popieram swobodę przepływu osób, przeciwny zaś jestem inżynierii społecznej prowadzonej niejako przy okazji naturalnej mobilności jednostek. Natomiast należy pamiętać, że ta troska o obronę europejskiej tożsamości nie jest troską ewangeliczną. Wynika ona z sentymentu, którego treścią jest chęć podtrzymania hegemonii kultury chrześcijańskiej zbudowanej na zroście z szeroko pojętą sferą władzy. Emanacja tej kultury to otaczające nas dziedzictwo, jego majestat i sączony do naszych głów przekaz, jakoby wielowiekowe instytucje, architektura czy literatura oraz inne elementy kodu kulturowego warunkowały nasze przetrwanie. W jakiejś mierze (nawet dużej) jest to stwierdzenie prawdziwe. Ale wynika to z trybu funkcjonowania społeczeństw, natomiast nie ma wiele wspólnego z chowaniem miecza do pochwy, nadstawianiem drugiego policzka czy rezygnacją z wizji Boga Sprawiedliwego na rzecz Miłosiernego. Miłosierdzie bowiem — powiadają przywiązani do Polski jako przedmurza chrześcijaństwa — może być tylko dla tych, którzy je rozumieją (a mówiąc wprost — doceniają). What would Jesus do? — to pytanie nie pada, bo ornamentyka religijno-kulturowo-polityczna jest ważniejsza niż chęć zrozumienia, co miał naprawdę do powiedzenia. Zmartwychwstanie jest zatem raczej zwycięstwem nad kimś niż zwycięstwem po coś. Tymczasem przeciwstawione przeze mnie polityzacji religii nieprzejednanie wiary to przekaz radykalny w sensie ewangelicznym, a nie politycznym. Szczytem tego drugiego jest zabijanie Krzyżaków z „Bogurodzicą” na ustach czy strzelanie do komunistów z Matką Boską w sercu. Politycznie te postawy są do uzasadnienia, a postępujących tak ludzi obdarza się mianem bohaterów. Ale z radykalizmem wiary to się nie tylko nie łączy, to się z nim kłóci. Radykalizm wiary to bezgranicznie harmonijne Jezusowe „ja”, kosztem uwarunkowanego i najeżonego przekonaniami, które wdrukowali nam inni „mnie”. Tego pierwszego nic nie jest w stanie zakłócić i nic nie jest w stanie zniszczyć, to drugie może być naruszone czymkolwiek, co możemy obserwować po codziennych historycznych reakcjach wiecznie urażonych, obrażonych, niedocenianych i odrzucanych — przede wszystkim przez siebie samych, w oparciu o wyobrażenia i oczekiwania, które sądzą, że muszą mieć, bo „tak trzeba” — ludzi. Posiadanie świadomości, w najpełniejszym znaczeniu tego słowa, ewangelicznej, wyklucza jakąkolwiek agresję (fizyczną, werbalną i intelektualną). Skrajnym przykładem polityzacji religii jest chrześcijański nacjonalizm i wykwyty w rodzaju księdza Międlara. W tym ujęciu religia jest sprowadzana do roli artefaktu, który służyć ma wzmocnieniu tożsamości, poczucia bezpieczeństwa i komfortu psychicznego jakiejś grupy. Mechanizm polega na selekcji tego, kto jest „nasz”, a kto jest „obcy”. Cynizm tej prymitywnej postawy jest lukrowany za pomocą argumentów pseudomoralnych o tym, że ów obcy „stanowi siedlisko zła” czy „nie przestrzega elementarnych reguł”. W każdym razie stanowi enklawę egzotyki pośród myślących tak samo (a raczej nie myślących wcale lub wyłącznie w określonych kategoriach) i przekonanych o tym, że fakt wyznawania danej religii jest jednoznaczny z posiadaniem monopolu na prawdę, a nie drogą do jej poszukiwania. Podnoszący na duchu prostytutkę Jezus wszedł w paradę obowiązującym regułom i ich twórcom. Zadziwił ich i wprowadził w konsternację — oni mieli już gotowe wzory postępowania w takich sytuacjach - ukamienowanie. I wyznawcy narodowego katolicyzmu też je mają. Warto uświadamiać im, że źródłem ich przekonań nie jest Ewangelia.

Szczęście kontra iluzja

Bez wątplenia najbardziej przemawiającym do wyobraźni wśród poszukujących alternatyw względem hermetycznego modelu edukacji teologicznej jest Anthony de Mello. Ten niezwykły już hinduski jezuita, psychoterapeuta i rekolekcjonista, dysponował nadzwyczajnymi zdolnościami w zakresie uświadamiania ludziom tego, co jest rzeczywistym priorytetem, a co tylko fasadą. Łącząc duchowość chrześcijańską z elementami dalekowschodnimi, stworzył frapującą miksturę, z pewnością dla religijnych tradycjonalistów co najmniej kontrowersyjną. Nie bez przyczyny „pancerny kardynał” Ratzinger, jeszcze w czasach przewodniczenia Kongregacji Nauki Wiary otwarcie sprzeciwiał się naukom de Mello. Miały one być sprzeczne z doktryną kościelną. Czy były jednak sprzeczne z Ewangelią? Jednym z ulubionych odwołań było w przypadku de Mello odwołanie do Kazania na Górze, którego pełne zrozumienie uznawał za punkt wyjścia do zyskania świadomości, będącej przepustką do szczęścia — rozumianego jako synonim miłości, wolności czy pokoju. Dla przypomnienia, Kazanie w Mateuszowej wersji Ewangelii:

"Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie. Wtedy otworzył swoje usta i nauczał ich tymi słowami:

Błogosławieni ubodzy w duchu albowiem do nich należy królestwo niebieskie.
Błogosławieni, którzy się smuca, albowiem oni będą pocieszeni.
Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię.
Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.
Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.
Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.
Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi.
Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Błogosławieni jesteście, gdy [ludzie] wam urągają i prześladowają was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Ciescie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie. Tak bowiem prześladowali proroków, którzy byli przed wami."

De Mello zachęca do porzucenia iluzji doczesności na rzecz duchowego spełnienia. Przy czym, krytycznie odnosi się do całkowitego wyłączenia ze świata doczesnego jako formy wymuszonej ascezy. Argumentuje, że brak przywiązania do prozy życia może być konsekwencją jedynie pełnego oświecenia, zyskania świadomości, nie zaś wykalkulowanym elementem jakiegokolwiek religijności. Czym jest szczęście? Porzuceniem złudzeń, oczekiwań, przywiązań. To porzucenie jest warunkiem uzyskania harmonii pozwalającej odkryć niewidzianą wcześniej radość z codzienności. Szczęścia zatem nie uzyskuje się, zdobywając kolejne tytuły, pieniądze, stanowiska, kobiety lub mężczyzn, sławę czy święty spokój. Szczęście uzyskuje się poprzez akceptację świata i zdanie sobie sprawy z elementarnego faktu, że to nie w nim tkwi źródło naszego nieszczęścia, tylko w nas samych. To my bowiem decydujemy, co nas oburza, wprawia w osłupienie, dyskomfort, co nas drażni i denerwuje. Tymczasem, wszystko co się dzieje, dzieje się w tym świecie. A jeżeli stworzył go Bóg, to jakież zastrzeżenia może mieć wywyższający go rzekomo ponad wszystko człowiek? To, że różne „dziwactwa” nie pasują nam do naszej indywidualnej układanki nie oznacza, że zasługują na powszechne potępienie. Jakże odmienny w tym względzie jest notorycznie zszokowany „zepsuciem”, „utrata busoli moralnej”, „zbożeniami”, „upowszechniającym się ateizmem” i „pogardą dla świętości” polski katolicyzm (oczywiście nie cały, to duże uproszczenie, bo mamy przecież rozmaite frakcje, czy nawet rozmaite kościoły w Kościele). Tak jak broniący tradycji, ładu i porządku społecznego ufundowanego na Bogu faryzeusze, którzy bluźniercą z Galilei postanowili zgładzić. De Mello jest mistrzem anegdotek, a może przypowieści, skądinąd formy stanowiącej podstawowy atrybut nauki Jezusa. Pozwolę sobie przytoczyć kilka z nich, choć polecam w zasadzie wszystkie.

"Mystyk powrócił z pustyni.

Opowiedz nam - pytali go z przejęciem — jaki jest Bóg?

Ale jak miałby wyrazić słowami to, czego doświadczył w głębi swego serca? Czyż można Prawdę zamknąć w słowach? W końcu przekazał im formułę — niedokładną oczywiście i niepełną — w nadziei, że ktoś z nich będzie mógł spróbować i dzięki niej osobiście doświadczyć tego, czego on doświadczył. Ci zaś nauczyli się formuły i zrobili z niej tekst święty. I narzucili ją wszystkim, jakby chodziło o dogmat. Postarali się wręcz o to, by rozpowszechnić ją w obcych krajach. A niektórzy nawet oddali za nią swe życie. Mystyk się zasmucił. Być może byłoby lepiej, gdyby nic nie powiedział."

"Turysta rzekł do przewodnika:

- Ma Pan rację, że czuje się pan dumny ze swego miasta. To, co wywarło na mnie szczególne wrażenie, to liczba kościołów tutaj. Z pewnością tutejsi ludzie muszą bardzo kochać Boga.
- No cóż - odparł cynicznie przewodnik — być może kochają Boga, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że się wzajemnie śmiertelnie nienawidzą."

De Mello konkluduje, że przypomina mu to dziewczynkę, którą zapytano, kto to są poganie. Odpowiedziała: „Poganie to ludzie, którzy nie kłócą się z przyczyn religijnych."

"Tego dnia mowa Mistrza ograniczyła się tylko do jednego enigmatycznego zdania. Uśmiechnął się tylko ironicznie i rzekł:

- Całe moje działanie tutaj, to siedzenie na brzegu i sprzedawanie wody z rzeki."

Pierwsza opowiadanka traktuje o poszukiwaniu drogi, a w zasadzie Drogi. Tego poszukiwania nie da się zamknąć w nakazach, zakazach, prawdach wiary, literalnie rozumianych wskazówkach. Skoro każdy człowiek jest inny, to czyż można tę inność unifikować? Brak refleksji, pytań i wątpliwości stępia intelekt i stępia serce. Gotowe formuły to przepis na ideologię, która jest obliczona na gusty masowego odbiorcy i terroryzowanie go piekłem, wiecznym potępieniem albo niechęcią ze strony

proboszcza. To jest skuteczna metoda na etapie katechezy wczesnoszkolnej, im człowiek bardziej samodzielny i dojrzały, tym bardziej ten gmach trzeszczy w szwach. To zapewne nie przypadek, że młodzi ludzie w dużej mierze odchodzą od Kościoła. Zrzucanie winy na sekularyzację, światowe trendy, powszechne opluwanie katolicyzmu to wygodne wymówki, ale czy nie warto zadać sobie pytanie, jak w sytuacji bardzo często kuriozalnego i autorytarnego przekazu oczekiwać tego, by pozostawali oni we wspólnocie? Pisząc o odchodzeniu od Kościoła celowo nie pisałem o odchodzeniu od wiary czy duchowości, bo to wbrew temu, co próbuje się często twierdzić, nie są pojęcia tożsame. Wedle badań społecznych, zadeklarowanych ateistów jest wciąż maksymalnie kilkanaście procent, praktyki religijne (regularne) są udziałem ok. 40%, a więc jeszcze kilkadziesiąt zostaje w odwodzie. Można przyjąć, że pozbawieni „busoli moralnej” kościoła świętego ludzie masowo wpadają w nałogi, stają się płatnymi mordercami, nihilistami i generalnie są dla społeczeństwa straceni. Tylko, że takie twierdzenie nie wytrzymuje starcia z rzeczywistością.. Czy zatem uprawnione jest, by bezustannie twierdzić, że katolicyzm jest zapisany w DNA polskość? To nie tylko nietrafne i niepełne opisanie stanu rzeczy, ale także niebezpieczne, bo takie lokalizowanie religijności odbiera istotę chrześcijaństwu, w którego centrum nie znajdują się sprawy tego czy innego narodu. Jezus nie deklamował poezji patriotycznej, a że w jego czasach nie istniało coś takiego jak świadomość narodowa? No właśnie... W drugiej anegdotce przedstawiony jest dysonans między twardym podejściem do religii, jej zewnętrznych atrybutów, ikon, symboli, obyczajów etc. w kontrze do istoty, którą przecież w dużo większym stopniu niż pobożność jest pokojowe współistnienie wszystkich dzieci Bożych (tak, niezależnie od rasy, płci i niezależnie od wszystkiego). W jednym z fragmentów Biblii można przeczytać przecież, że „Jeśli twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją.” Jeśli zatem religia jest powodem nieszczęścia, to może jest to zła religia? Budownictwo sakralne bywa efektowne, ale koniec końców to tylko kupa cegieł. Gotowy do zburzenia i odbudowania w trzy dni świątyni jerozolimskiej Jezus budził odrazę tradycjonalistów. Dzisiejsi nieudolni religijni tradycjonałści próbują zakonserwować coś, co w swoim założeniu jest radykalne czy wręcz rewolucyjne (choć niekoniecznie w tym znaczeniu rewolucji, które jako pierwsze przychodzi nam na myśl). Podobnie z wzorami postępowania. Dlaczego obrona utartych schematów ma być spójna z chrześcijaństwem? Trzeci fragmencik to idealna metafora ludu wiernego, zapatrzonego w swoich pasterzy, depozytariuszy monopolu na prawdę. Fakt, że myśląc „Kościół”, w Polsce przychodzi na myśl przede wszystkim kler, czyli hierarchia jest sam w sobie świadectwem, jak pewien system religijny jest ułożony. A jest on z pewnością oparty na założeniu nierównowagi poszczególnych członków wspólnoty. Dlatego ci, którzy siedząc na brzegu rzeki, sprzedają wodę, mają w zasłanianiu rzeki ułatwione zadanie. I dlatego iluzja wygrywa ze szczęściem, którego się boimy i które jawi się jako zakazany owoc, będąc w rzeczywistości tym, do czego chrześcijańska filozofia miłości służy.

Dla racjonalistów podjęty przeze mnie temat jest łatwy i niełatwy zarazem. Łatwy, bo okładanie kijem i demaskowanie wypaczeń oraz absurdów narodowego katolicyzmu jest zadaniem tyleż wdzięcznym, co dziecinnie prostym. Niełatwy, bo przywołanie w tym miejscu koncepcji zbliżonej do Agape, obecnej przecież w Nowym Testamencie — nieco komplikuje sprawę. Niezależnie od stanowiska czytelników w przedmiotowej sprawie, pragnę wyrazić nadzieję, że uniwersalizm (choćby w postaci personalizmu) będzie w polskim dyskursie religijnym triumfował nad dusznym i przaśnym partykularyzmem, wiara skutecznie ucieknie przed upolitycznieniem, zaś szczęście skruszy iluzję. Niech malownicze, ale destrukcyjne w swej naturze „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem” definicje odejdą w niepamięć, bo przecież nikt nigdy nie powiedział, że droga do raju wiedzie przez polskie piekielko. Nieważne bowiem, czy wierzymy w cokolwiek czy w nic. Ważne, żebyśmy potrafili dobrze ze sobą żyć. Czyż to nie najszlachetniejszy z ziemskich celów?

Paweł Leszczyński

Pochodzi z Radomia, od 2010 w Warszawie. Absolwent studiów licencjackich w zakresie socjologii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie oraz magisterskich z zarządzania w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, student nauk politycznych na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 2012-2014 Prezes oddziału warszawskiego stowarzyszenia Studenci dla Rzeczypospolitej, zaś w latach 2014-2016 Prezes Zarządu Głównego tej organizacji, od 2016 Przewodniczący Komisji Rewizyjnej stowarzyszenia. Od lutego 2016 w Gabinetzie Politycznym Ministra Energii. Sympatyk demokratycznej



centroprawicy oraz idei umiarkowanie konserwatywnych i liberalnych.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 16-04-2017)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,10108) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,10108>)

Contents Copyright © 2000-2015 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2015 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl